

w razie nieodszukania skradzionych papierów zobowiązywał mu się sam zwrócić.

Po chwili wahania ozwał się Morton do Maryi, to znaczy raczej do pani Brown:

— Te trzy tysiące dolarów pani wypłace, ale dalej żadnych zaliczek płacić nie będę. Proszę to sobie zapamiętać. —

O oznaczonej godzinie Henryk Wilbert czekał agentki policyjnej przed bankiem, tak, jak było umówione.

Wzruszony chodził niecierpliwie po trotoarze, kiedy naraz uczuł, że mu ktoś rękę położył na ramieniu.

Odwrócił się i zobaczył przed sobą tę starą panią, która już dwa razy w banku kazała się zameldować Mortonowi jako pani Brown.

Nieprzyjemnym, piskliwym głosem zaczęła wołać do niego:

— No, młody człowieku, cóż to panu brakuje? Wyglądasz pan tak zmartwiony. Może pana głowa boli? Mam znakomity środek na ból głowy.

Henryk zdumiony wpatrzył się w natrętną babę i odparł surowo:

— Gdybym potrzebował lekarskiej rady od pani, to ja bym pani sam o tem powiedział!

— No, no; nie miałam przecie żadnych złych zamiarów. Widziałam, że pan taki zadumany chodzi tam i z powrotem, sądziłam więc, że panu będę w stanie pomóc.

Henryk zaczął żałować swego zachowania się. Starowina była, jak się zdawało, kobietą poczciwą i lubiącą wiele mówić, ponadto nie widziała w swym zachowaniu się nic nadzwyczajnego.

— Nie chciałem być niegrzecznym, łaskawa pani — rzekł — ale mnie nic nie brakuje, więc pani mi nic pomóc nie może.

— No, to dobrze; ale może pan będzie tak dobry i pokaże mi tu gdzie taki sklep z konfekcją damską, bo chciałam kupić trochę podarunków dla swoich.

— W takim razie niech pani idzie prosto tą ulicą, a przy pierwszej przecznicy niech pani skreśli na prawo. Tam pani zaraz zobaczy jeden z największych magazynów mody w naszym mieście.

— Nie byłby pan tak łaskaw pokazać mi drogi? Nie mogę się tu jakoś zorientować.

— Niestety, nie mam czasu, łaskawa pani!

— Ładnie, ładnie — rzekła stara rozczerowana — no, to muszę iść sama.

Henryk Wilbert miał dobre serce. Do drugiej, kiedy miał spotkać tajemniczą nieznajomą, brakowało jeszcze sporo czasu. Rzekł więc po krótkim namyśle:

— Punkt o drugiej mam się tu z kimś spotkać. Jeżeli się pospieszymy, to mogę panią aż pod sam magazyn odprowadzić.

— To ślicznie z pańskiej strony, młody człowieku; jeśli pan jednak jest już tak dobry i uprzejmy, to z pewnością zrobi mi pan jeszcze jedną przyjemność. Mam tu trzy tysiące dolarów, które mam oddać niejakiemu Henrykowi Wilbertowi. Może mi pan pomoże odzyskać tego pana!

— Henryka Wilberta?! To ja sam, łaskawa pani! Trzy tysiące dolarów!

W tejże samej chwili przebiegła mu przez mózg dziwna myśl.

— Wielki Boże! — zawołał. — To pani, która mi życie ocaliła, moja dobrodziejka!

Cichy śmiech rozległ się poza ciemnozieloną woalką.

— Tak mi się zdaje — rozśmiała się raz jeszcze. — Tu są pieniądze. Urządź się pan tak, aby nikt nie zauważył, że je pan zwraca.

— Niech panią Bóg nagrodzi! — szepnęła Henryk zdławionym prawie głosem, a w oczach zaczęły mu błyszczeć łzy.

— Już dobrze! — broniła się. — A teraz do widzenia! Nikt mnie nie powinien widzieć, rozmawiającej z panem. Za kilka dni będę potrzebowała pańskiej pomocy. Bądźże pan gotów...

Po tych słowach, wypowiedzianych miękko, cichym głosem, ozwała się znowu nieprzyjemnym, piskliwym tonem:

— Ślicznie dziękuję, kawalerze! — wołała. — Teraz już sama znajdę sobie drogę. Ślicznie dziękuję!

W kilka sekund później Henryk Wilbert stał już sam na ulicy. Pani Brown znikła wśród tłumu. W rękę trzymał pieniądze — były one ratunkiem przed nędzą, hańbą i śmiercią! I wszystko to zawdzięczał tej istocie, której prawdziwej postaci nie znał i nawet domyślić się nie mógł. Nie wiedział, czy była młoda, czy stara, piękna, czy brzydka. Chodził, jakby w śnie pogrążony po ulicach, poczem znowu powrócił do banku. W godzinę później kasa zgadzała się z książkami, a on mógł już z dawną swobodą spojrzeć każdemu w oczy.

Dziwne, zaiste, są zrzádenia losu. Tego samego dnia po południu przyszedł Grzegorz Robertson i w zimnym, urzędowym tonie oświadczył Henrykowi, że chce zrewidować książki, przezeń prowadzone.

Grzegorz Robertson był niegdyś buchalterem w tej firmie, której obecnie został współnikiem. Był on znakomitym rachmistrzem, który nie pominął



— Tu są pieniądze. Urządź się pan tak, aby nikt nie zauważył, że je pan zwraca.

najmniejszego błędu. Byłby więc bezwątpienia odkrył defraudację w książkach, których teraz żądał.

Dzięki owej kobiecie, która wyratowała Henryka z największej biedy, młody człowiek mógł teraz swobodnym, pewnym siebie głosem powiedzieć:

— Proszę, panie Robertson, tu są moje książki do pańskiego rozporządzenia.

Robertson zmierzył go zimnym, prawie szyderczym wzrokiem.

Rewizja się skończyła. Książki były we wzorowym porządku.

— Do kę! — ozwał się w kwadrans później Robertson do starego Mortona. — Tego poprostu nie rozumiem! — Książki są prowadzone tak wzorowo, jak tylko można. Mnie nie byłby uszedł najmniejszy nawet błąd, a byłbym przecie przysiągł na to, że on tam popełniał malwersacje.

— Po co mu małe defraudacje? — zauważył Morton. — Kto ukradł pół miliona...

— Tak, ale przecie on się jeszcze nie odważył spieniężyć papierów. Czyś pan jeszcze dotąd nie zdecydował się kazać go aresztować? Zdaje mi się, że pan chcesz go oszczędzać.

— Nie chcę go oszczędzać, chociaż mi żal tego młodego człowieka. Nie uważałem go nigdy za

zdolnego do takiego łotrostwa! Sprawa jest w dobrych rękach, możesz pan spokojnie zdać się na mnie.

Z temi słowy rozeszli się obaj szefowie. Tego samego wieczora Grzegorz Robertson złożył wizytę pewnej damie. Mieszkała ona w najwspanialszej części miasta i przyjęła go w elegancko urządzonej salonie.

Było to zjawisko wspaniałe, niezwykle piękności. Ale chytry, zimny błysk w szarych oczach, odejmował tej twarzy wszelki powab i wdzięk. Uważny obserwator byłby w jej zewnętrznej elegancji odkrył pewnie coś, co by go było naprowadziło na myśl, że kobieta ta nie wychowała się w eleganckich sferach, w jakich się teraz obracała.

Grzegorz Robertson przywitał ją uprzejmie. Była to ta sama dama, która w banku uchodziła za jego krewną. Ale sposób, w jaki on zbliżył się ku niej, kazał co innego przypuszczać.

— Gniewasz się na mnie, Julio?

— Naturalnie! — odparła.

Robertson zbladł. Wzrokiem, pełnym bolesnej miłości spojrzął na piękną kobietę i zapytał trwoźnie:

— Ależ, aniele ty mój, cóż popeliłem takiego, że zasłużyłem na twój gniew?

— Postępujesz ze mną podle! — wybuchała. — Obiecywałeś mi skarby, bogactwa, które mi chciałeś rzucić do nóg, obiecywałeś mi zrobić wszystko, czego tylko me serce zażąda, jeśli bym ci jeno dała moją miłość. I jak dotrzymałeś słowa?! Chcę pieniędzy, dużo pieniędzy!

Mówiąc to, potargała w palcach na strzępki śliczną, koronkami ozdobną chusteczkę do nosa.

— Julio, czy ty masz pojęcie, jaka to suma, którą ci w tym miesiącu ja sam wręczyłem?

— Kilka tysięcy dolarów! I cóż to jest?! Gdybym cię była nie usłuchała i miłość moją ofiarowała komu innemu, byłby mi niejeden milion rzucił do nóg! Miliony, słyszysz, miliony!

— I miliony dostaniesz i to odemnie, tylko miej jeszcze chwilę cierpliwości, mój skarbie; tak czy tak, nie będzie to już długo trwało! Wkrótce już żadne twoje życzenie nie pozostanie niespełnionem!

Podczas, gdy to mówił, do pokoju weszła elegancka, ładna pokojóweczka.

— Któż to jest? — zapytał Robertson zdziwiony.

— Moja nowa pokojówka! — odparła Julia Harrington, rozkazując równocześnie dziewczynie wyjść od razu z pokoju.

— Przecież tej nigdy jeszcze nie widziałem; od jak dawna jest ona u ciebie?

— Dopiero od dwóch dni.

— Oddał ją natychmiast!

— Dlaczegoż to? — spytała Julia zdumiona.

— Poprostu dlatego, że mi się nie podoba. Na pierwszy rzut oka jest ona dla mnie niesympatyczną, chociaż jest taką ładną i zgrabną. Ja sam nie wiem, dlaczego.

— To śmieszne! — rzekła Julia pogardliwie.

— Może być, że dla ciebie jest to śmieszne! Ale ja sobie stanowczo życzę, ażebyś tę dziewczynę oddaliła!

— I ty myślisz, że ja oddałę najszykowniejszą, najlepszą pokojówkę, jaką miałam kiedykolwiek, jedynie dlatego, że ty czujesz do niej jakąś niczem niewytłomaczoną antypatyę?

Julia rozśmiała się szyderczo na cały głos.

— Zdaje mi się, że powinnaś mieć większe względy na moje życzenia, tembardziej, że nie wymagają one od ciebie ani kosztów, ani trudów — ożwał się podrażniony.

— Ależ, Grzegorzu, ja raczej ciebie porzucę, aniżeli tę dziewczynę. Ta wieczna bieda, jaką ustawicznie miałam z memi pokojówkami, nie uśmiecha mi się już. A Łucya jest poprostu nieoceniona! Tak użytecznego, zgrabnego i we wszystkich szczegółach toalety doświadczonego dziewczęcia, nie miałam jeszcze nigdy i pragnęłam zawsze taką dziewczynę dostać. Zaraz po szyku, jaki ma, można poznać, że to Francuzka.

(Dalszy ciąg nastąpi).